ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 172.

№ 10. | Warszawa, 16 maja 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Pierwsze kroki.

DEMOKRATYZACYA ŁOWIECTWA
WE FRANCYI.

(Dokończenie).

Pierwsze w tej sprawie zabrało głos Francuskie Towarzystwo Zoologiczne (*Société Zoologique de France*), które w swych miesięcznikach pomieściło szereg artykułów, wzywających wszystkich obywateli do walki z niszczycielami użytecznego ptactwa. Najżarliwszą kompanię prowadził znany uczony, p. Raspail. Głosy te znalazły wkrótce echo w różnych publikacyach naukowych innych krajów europejskich, a między innemi w „Ornis'ie", organie Międzynarodowego Komitetu Ornitologicznego, którego prezesem był podówczas nieżyjący już Emil Oustalet z Muzeum Jardin des Plantes. Bezpośrednio potem powstała myśl zawarcia międzynarodowej konwencyi ochrony ptaków, która to konwencya po dość długich pertraktacyach została zawartą, a ratyfikacya jej nastąpiła w styczniu r. b. za ministeryum Rouvier'a, a przez ministra rolnictwa, p. Mougeot'a. Niemal wszystkie kraje europejskie przystąpiły do tej konwencyi; tylko Włochy i, zdaje się, Rosya, uchyliły się od podpisania jej. O ile pamiętam, Rosya motywowała swą odmowę tym względem, że ptaki, które na zachodzie są użyteczne, w Rosyi, wskutek odmiennych warunków, należą do szkodliwych, i odwrotnie.

Wspomniana konwencya, oprócz wielu innych punktów, zawierała dwa bardzo ważne, a mianowicie: ochronę słonki w czasie wiosennych przelotów i zakaz łowienia ptaków sieciami.

Tymczasem ministeryum Rouvier'a upadło i miejsce p. Mougeot'a zajął p. Ruau, człowiek jaknajlepszych chęci, ale nie dość energiczny, aby stawić czoło przeciwnemu prądowi, który wkrótce po zatwierdzeniu konwencyi zaczął się przejawiać. Zbliżał się właśnie czas wyborów, a z niemi chwila podlizywania się pp. wyborcom, dla których zakaz strzelania słonek na ciągu, a szczególniej zamknięcie łowów sieciami, było ciosem śmiertelnym; to też na posiedzeniu izby deputowanych w d. 5 lutego pomiędzy wielu innemi wnioskami, pojawiły się dwa następujące:

1. „Izba wzywa p. ministra, aby na przyszłość pozostawił prefektom w porozumieniu z radami generalnemi władzę prolongowania polowania na słonki po zamknięciu sezonu, stosownie do dawnych zwyczajów i paragrafów prawa".

2. „Izba, będąc *przekonaną*, że polowanie na ptaki przelotne, jak np. drozdy, skowronki i ortolany, praktykowane na zasadzie prawa od niepamiętnych czasów, nie przynosi żadnej szkody rolnictwu, a przeciwnie, dostarcza całej masie drobnych rolników i gminom wiejskim cennego źródła dochodów; odwołując się do prawa z d. 3 maja 1844 r., które nadało w tej sprawie radom generalnym moc interwencyi, wzywa rząd, aby stosownie do życzenia ludności, powrócił do obserwowania dawnych zwyczajów".

P. Ruau, który zrozumiał dobrze cały nietakt zawotowania powyższych wniosków, ograniczył się tylko na zaznaczeniu, że krok ten jest naruszeniem (*dénonciation*) konwencyi, którego inicyatywę bierze sam rząd na siebie. Niemniej jednak oba wnioski izba zawotowała bez żadnej zmiany, narażając rząd francuski na kompromitacyę wobec innych krajów europejskich, które powyższą konwencyę podpisały. Mniejsza jednak o wstyd przed Europą, gdyż radykalne rządy francuskie ostatnich czasów są na takie sprawy dość odporne; skoro mogły cierpieć w swem łonie ludzi, zamieszanych w nieczyste afery szwindlów panamskich, niepodobna tam szukać podstaw etycznych; smutniejszemi stokroć są dalsze skutki nowego prawa, a raczej powrót do dawnych przepisów, bo teraz zacznie się znowu masowe tępienie skowronków, drozdów, jaskółek i wszystkich tych drobnych wędrowników, których jedynym grzechem jest chyba to, że pobudzają nizkie instynkty francuskich pseudonemrodów.

Nie ograniczyło się jednak posiedzenie izby francuskiej z d. 5 lutego na samem zawotowaniu powrotu do dawnych przepisów w kwestyi łowów sieciami i polowania na ptactwo przelotne; znalazły się też na stole dwa inne, bardzo ważne wnioski, a mianowicie kwestya strzelania na drogach publicznych i uzupełnienie listy zwierząt szkodliwych, za zabicie których rząd płaci nagrody.

Z łoków głuszcowych na Polesiu.

PUDŁO.

Zdziwi was zapewne, szanowni czytelnicy, tytuł, który daję swemu opowiadaniu. Jakiż bowiem myśliwy kiedykolwiek się przyznał do swoich pudeł lub znalazł przyjemność w opisywaniu cudzych niepowodzeń? Otóż w danym wypadku stanowię właśnie ów wyjątek i bynajmniej z tem się nie kryję. Jest to bowiem zemsta, wywarta na moim mężu za niedotrzymanie uczynionej mi obietnicy.

* * *

Na początku wiosny stanęła między nami następująca umowa: na dziesięć wycieczek mego męża do lasu, jedenastą mieliśmy spędzić razem pod gwiaździstym stropem nieba, a nadto postanowiliśmy, iż ja sama strzelać będę do głuszca. Łatwo więc sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością i upragnieniem owego dnia oczekiwałam. Gdy wreszcie nadszedł, nie posiadałam się z radości. Zabrałam się natychmiast do robienia ładunków, poczem wydobyłem z szafy krótki strój myśliwski, który od roku wisiał na kolku nieużywany, niemal zapomniany. Humor mój wszelako się zmienił, gdy przed nocą zjawił się strzelec, mający nam w tej wyprawie towarzyszyć. Słysząc o moim zamiarze strzelania do głuszca, ruszył ramionami, poskrobał się w głowę i rzekł ironicznie z pewną domieszką gniewu w głosie.

— Abo on głuchy, czy ślepy ten głuszec, że się da pani podejść.

Podsunęłam mu talerz ze świeżo pieczonemi bułeczkami, by gniew jego nieco uśmierzyć, i przyrzekłam mu gościniec w razie, gdy się polowanie uda, co go wreszcie udobruchało, i przyrzekł nas przed drugą rano obudzić.

Wyszliśmy na ganek w burkach nieco senni, ale świeży powiew chłodnego wiatru wnet nas orzeźwił. Noc była ciemna, pomimo pierwszej kwadry księżyca, który się schował chwilowo po za gęstemi chmurami. Wsiadamy na bryczkę, zaprzężoną w parę rączych koni. Moroz (tak się nazywa ów strzelec) usadawia się na koźle, zostawiając obok siebie miejsce dla leśnika, Mikołaja, który głuszca osadził, i jazda. Mijamy naszą poleską wioskę, w głębokim śnie pogrążoną, a ujechawszy kawałek polem, wjeżdżamy do kolonii Szlązaków, gdzie droga nie odznacza się wielką równością.

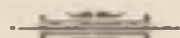
— Zaczepij Morozie o ten słupek przed chatą Stiepanka i wywróć nas, jak wtenczas, kiedy zemną jechałeś—ostrzega mój mąż żartobliwie, —lecz Moroz

Według prawa z 1844 roku, drogi publiczne we Francyi, jako teren myśliwski, stanowią własność ogólną. to znaczy, że każdy ma prawo na nich strzelać, o ile posiada świadectwo na prawo polowania. Skutkiem tego idyotycznego prawa zdarzało się nieraz, że gdy środkiem miotu przechodziła droga publiczna, lokowali się na niej podczas trwania pędzenia różni nieproszeni „obywatele“ i strzelali zwierzynę, przechodzącą przez drogę lub przelatującą nad nią; a gdy nieraz linia myśliwych wypadła na takiej drodze, owi nieproszeni intruzi lokowali się bez żadnych skrupułów pomiędzy zaproszonymi gośćmi. Zrozumiał dobrze całą niestosowność tego przepisu p. Mougeot i rok temu zdołał przeprowadzić w obu izbach jego zniesienie. Obecnie izba deputowanych, na wniosek posłów radykalnych przywróciła dawny przepis z 1844 roku, nadając znów prawo każdemu korzystania z cudzej pracy i z cudzych kosztów.

Na listę zwierząt szkodliwych, za które rząd płaci nagrody, wniesiono na tem samem posiedzeniu (zresztą bardzo słusznie) lisa i srokę; lecz jednocześnie wciągnięto na nią jelenia, za którego zabicie rząd teraz będzie płacił premie. Kto zna stosunki łowieckie we Francyi, ten zrozumie całą potworność tego przepisu. Polowanie *par force* na jelenie, jest czysto narodową, francuską rozrywką. Istnieje we Francyi około 150 „ekwipażów“ na jelenie, dających utrzymanie tysiącom ludzi, a rządowi francuskiemu miliony dochodów. Bo trzeba wiedzieć, że dzierżawa polowań w niektórych lasach rządowych we Francyi daje rządowi większy dochód, aniżeli same poręby z lasu. Skoro po wprowadzeniu nowego przepisu, każdy będzie się starał tępić jelenie, aby tym sposobem nagrodę otrzymać, właściciele ekwipaży będą zmuszeni je zwinąć, a tem samem masa ludzi zostanie bez chleba, a rząd pozbawi się jednego z ważnych źródeł dochodu. Sami nawet drobni rolnicy, dla ochrony których ustanowiony został rzekomo nowy przepis premiowania za zabicie jeleni, ucierpią najwięcej, bo za szkody, jakie im czyniły jelenie, pobierali od właścicieli polowań sute odszkodowania, które przewyższały zwykle znacznie wysokość samych szkód, zrządzonych, przez zwierzynę.

Jak się będzie zapatrywał Senat na te nowe przepisy, trudno naprzód decydować, ale można przypuszczać, że, jako złożony z elementów bardziej umiarkowanych i mniej dających się powodować wyborcom, pójdzie raczej za głosem etyki i więcej w myśl interesów ogólnopaństwowych. W przeciwnym razie pp. senatorowie, podobnie jak i większość deputowanych, dadzą sobie patent na ludzi małego serca, dla których ambicya zasiadania w izbie ma więcej znaczenia, aniżeli wszelkie względy sprawiedliwości i zrozumienie dobrobytu kraju.

Jan Sztolcman.



Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Kuna domowa, czyli *kamionka* (*Mustela foina*) spotyka się na całej rozciągłości kraju naszego i wogóle jest pospolitszą od kuny leśnej. Trzyma się przeważnie po miastach i wsiach, gdzie za siedzibę wybiera sobie strychy domów, opuszczone szopy, stajnie i t. p.; w braku lepszego schronienia przebywa też w kupach kamieni, w sągach drzew lub w kamieniołomach. Szkodnik to wielki, większy może nawet od kuny leśnej, bo, przebywając w sąsiedztwie siedzib ludzkich, ma ciągłą okazyę niszczenia drobiu; a że nie zadawalnia się zabiciem jednej sztuki, lecz może na jeden raz kilka lub kilkanaście sztuk zadusić, więc człowiekowi znaczne straty przyczynia. Oprócz drobiu chętnie też karmi się drobniejszą zwierzyną, a także tępi zapamiętale szczury, myszy, wiewiórki i rozmaite gady, jak węże i jaszczurki. Nie pogardza też strawą roślinną, lubi mianowicie wiśnie, gruszki, porzeczki i inne owoce. Ażeby drzewa od ich napaści uchronić, dobrze jest pnie od dołu posmarować mieszaniną oleju z sokiem tytuniowym.

Co do wielkości, kuna domowa różni się od leśnej nieco mniejszemi rozmiarami, a w ubarwieniu między obydwiema ta różnica zachodzi, że kuna leśna ma na przodzie szyi oraz na piersiach płowo-żółtą, a nieraz pomarańczowo-żółtą plamę, gdy u kamionki

---

omija uważnie każdy pieniek na drodze, a gdzie niema przeszkód, żywo popędza konie.

Już bryczka nasza wtoczyła się do ciemnego boru przez olbrzymią, jakby tryumfalną bramę sosnową, a las szumi i powiewa gęstemi kitami swych wierzchołków, rzekłbyś setkami olbrzymich wachlarzy z piór. Nic wokoło nie widać, choć oko wykol, tylko słychać szum jodeł i wycie wilka w oddali; tylko od czasu do czasu dochodzi nas smętny głos puszczyka. Moroz, nauczony doświadczeniem, posyła przed siebie Mikołaja na zwiady, sam zaś, odzyskawszy dobry humor, przez to samo staje się poufalszym.

— Widzicie, panoczku, ten pień — mówi, wskazując batem na odartą z kory, kłodę drzewa, — oto papa się tu pozawczoraj wywrócił z bryczką i ze wszystkiem, a to Sawka tak ładnie powozi.

Znając zaś mój wrodzony wstręt do kałuż i wodomyj, dodaje po chwili: „a zaraz będziemy przejeżdżać przez długi, długi bród, ot głęboki, nie daj Boże, aż się woda przez bryczkę przeleje, a pani będzie kriczit, jej Bohu, bude“. To mówiąc, wybucha szczerym, serdecznym śmiechem.

Docieramy wreszcie do miejsca, skąd o brzasku dnia wypadnie nam podskakiwać do głuszca. Moroz z Mikołajem przywiązują konie do poblizkiego drzewa, poczem zaczynają zbierać suche gałęzie dla rozpalenia ogniska. Wkrótce wybucha wesoły płomień, syczące i warczące, i mieni się, to czerwono, to liliowo. Wszyscy czworo zasiadamy wokoło niego; strzelcy zapalają krótkie fajeczki i wypuszczają z nich lekkie kłęby dymu, które snują się w powietrzu na kształt błękitnych obłoczków. Na wpół senna, z przymrużonemi oczyma leżę na burce, którą mój mąż rozpostarł na trawie, i przysłuchuję się opowiadaniom Moroza. A gaduła to, jakiego świat nie widział; człowiek, który całe swe życie spędził wśród dzikich, poleskich puszcz; błąkał się po miejscowościach, ludzką stopą niedotkniętych, nieraz spotkał się z mrukliwym niedźwiedziem, krwiożerczym wilkiem lub całem stadem dzików. Nawet jego mowa tchnie ciągłem obcowaniem z piękną, uszlachetniającą przyrodą, a zwroty ma często nader poetyczne. Dziś jednak zdaje się, że go Dryady leśne nie natchnęły. Wygrzebuje on wprawdzie z popiołów przeszłości, pod któremi legły zapomniane, dawne przygody myśliwskie, lecz ich nie obleka w szatę poetyczną, jego mowie właściwą, przeciwnie nawet jakoś drwiąco odzywa się o minionych czasach.

Lela Kieniewicz.

(Dok. nast.)



kolor tej plamy jest czysto-biały. Wogóle futro kamionki jest nieco mniej cenione, aniżeli futro kuny leśnej. Futro obu nosi w handlu nazwę „tumaków" i jest bardzo u nas cenione na kołnierze, oraz na podbicie salop damskich, a w ostatnich czasach nasze panie, mniej zamożne, poczęły ich używać na peleryny (futrem na wierzch), jako imitacyę bardzo kosztownych peleryn sobolowych, dostępnych jedynie dla osób bogatych.

Wskutek znacznych szkód, czynionych przez kamionki, jako i dla ich cennego futra, zwierzątka te są bardzo przez człowieka tępione. Niełatwa to jednak rzecz upolować lub złowić kunę, która wychodzi na łowy li tylko nocą, zachowując przytem największe środki ostrożności. Najlepszy jednak rezultat dają pułapki skrzynkowe, lub talerzowe, w których na zanętę kładzie się kurczaka, lub jajo kurze; lecz i te przyrządy zawodzą nieraz, dzięki niezwykłej przebiegłości i chytrości kuny, która instynktem czuje podstęp człowieka. Niemałą rolę przy zastawianiu żelaz odegrywa wrodzony talent łowcy do tego rodzaju operacyj. Pamiętam przed kilkunasty laty w ogrodzie Frascati, gdzie się kuny stale trzymają, jeden ze stróżów pałacowych złowił w przeciągu paru tygodni, aż sześć kun, z których jedną starą i pięcioro młodych. Przedtem zaś jeden z moich znajomych, doskonały myśliwy i niepośledni łowca, próbował tam przez czas dłuższy żelaza zastawiać, lecz zamiast kuny złapał tylko parę kotów.

Najlepiej jest kuny łowić pod koniec jesieni lub z początkiem zimy, gdyż wtedy włos jest najpiękniejszy.

Tumak, czyli *kuna leśna* (*Mustela martes*), rozpowszechniona jest we wszystkich lesistych częściach naszego kraju; nigdzie jednak nie jest licznie reprezentowaną. Lubi wybierać miejsca, w których znajdują się drzewa dziuplaste, aby w nich siedzibę obierać. Podobnie, jak i kuna domowa, jest nieprzyjacielem wszelkich mniejszych zwierząt czworonożnych i ptactwa. Nie ujdzie jej prześladowania ani zając w kotlinie, ani chybka wiewiórka na drzewie, ani też szczur wodny, ani drobna myszka na ziemi. Ptaki kurowate, trzymające się przeważnie na ziemi, chyłkiem napada i porywa, a jaja ptasie niszczy w gniazdach zarówno na drzewach, jak i na ziemi. Szkodnik to straszny, nienasycony, który ośmiela się nawet atakować młode sarenki, gdy je chwilowo matka opuści. Nic więc dziwnego, że człowiek wypowiedział jej wojnę zażartą, tępiąc tego łupieżcę, aby jednocześnie drogocenne futerko posiąść. Broń palna i różnego rodzaju samołówki są najskuteczniejszemi środkami tępienia kuny. Najłatwiej upolować kunę jest po śniegu, szukając starannie tropów i śledząc po drzewach; lub też z psem — wyżłem, lub gończym, specyalnie do tego polowania ułożonym. Ruszona kuna umyka zwykle na drzewo i tam pilnie obserwuje ruchy psa i człowieka, pozwalając się strzelać dowolnie. Według zdania znakomitego obserwatora obyczajów zwierząt, uczonego szwajcarskiego, Tschudi'ego, gdy myśliwy broni przy sobie nie ma, może śmiało iść po nią do domu, byle na widoku tumaka zostawił część swego ubrania lub chustkę, zawieszoną na krzaku, gdyż zwierz ten, jakby zahypnotyzowany, z miejsca się nie rusza, dopóki myśliwy z bronią nie powróci.

Łowienie tumaka w pułapki nie jest rzeczą łatwą, gdyż zwierz ten podejrzliwy unika starannie samotrzasków. Niemniej jednak używane bywają rozmaite pułapki, zarówno skrzynkowe, jak i talerzowe, a także potrzask z zawieszonem polanem, które przydusza zwierza, gdy ten tylko mechanizmu się dotknie. Na przynętę Brehm radzi brać chleb, natarty czosnkiem, masłem, miodem, lub kamforą. Dobrą zanętą jest także kurze jajo.

Futro kuny leśnej jest bardzo cenione. Kolor jego zmienia się, stosownie do okolicy. Piękne bardzo futra dają kuny szwedzkie, u których włos jest bardzo puszysty, barwy, wpadającej w popielatą. Kuny niemieckie mają sierć koloru żółtawego; tyrolskie są barwy ciemno-brunatnej i przypominają sobole amerykańskie; lombardzkie mają włos jasno-szaro-brunatny lub żółtawy; pirenejskie są również jasne; sam zaś mogłem sprawdzić, że kuna we Francyi środkowej posiada sierć bardzo ciemną, niemal czarną, a plamę na gardzieli pomarańczowo-żółtą. Nasze kuny są szaro-brunatne, dość jasne, z plamą płowo-żółtą.

Nierzadko się zdarza, że kuna leśna pada na polowaniach z naganką. Zwierz ten, mogący z łatwością schronić się na drzewie i ukryć wśród gałęzi, traci widocznie głowę i bezmyślnie wychodzi na linię strzelców. To samo dzieje się przy polowaniu z gończemi, o czem dwukrotnie mogłem się przekonać, polując z gończemi we Francyi: w jednym wypadku mój sąsiad zabił kunę, za którą wkrótce wyszły psy; w drugim — kuna wyszła na hałas, lecz jej nie strzelałem, gdyż w lufach miałem tylko kule, a psy goniły dużego odyńca. Żal było ryzykować strzał niepewny, mając szanse strzelania do pięknego dzika.

Jan Sztolcman.

(*C. d. n.*).

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

25, 26, 27, 28, lipca. Składamy wizyty urzędowe i nieurzędowe, wszędzie przyjmowani nadzwyczaj grzecznie. Gubernator Sir Donald Stewart zaprasza nas na śniadanie do miejscowego „Rouze'go" [1]), gdyż przybywamy właśnie na pierwszy dzień wyścigów. Jest to bardzo piękny meeting w obramowaniu wspaniałego krajobrazu egzotycznego, w którym brak tylko Kilima-Ndżaro i Kenii — zwykle widocznych z tej okolicy.

Oto spis miejscowych notablów, których mieliśmy przyjemność poznać: Sir C. de Crespigny, przybyły wprost z Londynu wraz z końmi Sir Donalda. Pomimo sześćdziesiątki, jeździ doskonale na koniu i zwykle na wyścigach bije swego syna, oficera kawaleryi, który uchodzi za bardzo dobrego jeźdźca. P. Jackson, sławny myśliwy i kolekcyoner. P. Hollis, poświęcający się studyom nad językiem Massai. Pani Jackson i pani Sanderson, które mi dają doskonałe wskazówki w kwestyach entomologicznych. P. Percival—„game ranger". Państwo Bradney.

Byliśmy obecni na wyścigu „Saint-Maur'a". Jest to niewielki, sympatyczny koń, który właśnie spędził trzy tygodnie wśród zebr Athi-Plains, skąd wrócił w doskonałej formie.

Ojciec Burh z misyi S-go Ducha pokazał nam konia, wychowanego w misyach (syn araba i klaczy indyjskiej), który następnie wziął nagrodę 29 lipca. Mieliśmy też sposobność poznać brata Solanusa, znakomitego myśliwego w obliczu Boga. Ma on wielką ochotę towarzyszyć naszej wyprawie, lecz na to potrzeba pozwolenia Jego Ekscelencyi. Posyłamy depe-

[1]) *Rouze*—sławny restaurator na polu wyścigowem w Chantilly pod Paryżem. (*Przyp. tłóm.*).

szę, na którą wkrótce otrzymujemy przychylną odpowiedź; brat Solanus jedzie z nami.

29 lipca. Nareszcie ładunki są rozdane i karawana wyrusza do Naiwaszy „pedibus cum nogibus"; my zaś przybywamy tam o 5-ej po południu koleją żelazną, wziąwszy z sobą trzy osiołki i mulicę, kupioną w Nairobi za 400 rupij. Opuściwszy Nairobi, przejeżdża się krainę Kikuju, sławną ze swej urodzajności: nie masz tu jednej piędzi ziemi, któraby nie była uprawianą; następnie przybywa się do urwiska Kikuju, którego lasy i szczyty stanowią wspaniały widok. Tutaj spostrzegamy pierwsze juniperasy[1]) olbrzymie, zanim się wydostaniemy do Kedongu, powyżej wielkiej Rift Valley, która roztacza się u stóp naszych.

Znaleźliśmy się nareszcie na tym olbrzymim szmacie ziemi, który, według geologów, zaczyna się od morza Galileusza, a kończy się u jeziora Nyassa, ciągnąc się po przez morze Czerwone, oraz przez jeziora: Abisyńskie, Rudolfa, Baringo, Nakuru, Naiwasza i przez jeziora słone Afryki niemieckiej.

30 lipca. Naivasha. Śniadanie zjedliśmy u p. Dundas'a, który nas podejmował nader grzecznie pod nieobecność podkomisarza. Pokazał on nam swą bardzo zabawną małpę z rodzaju babuinów, która pije sok cytrynowy z butelki. P. Dundas posiada też żywego geparda („cheetah") — rodzaj lamparta, używanego w Azyi do polowania.

Karawana przybywa po południu.

31 lipca. Naivasha. Dzisiaj w drogę! Wyruszamy o godzinie pół do dziewiątej na czele karawany, której skład jest następujący:

50 tragarzy (Wanyamouesi i Wakambas).
10 tragarzy (Wahikuyus).
6 askarisów — żołnierzy
Chandi — headman } (Swahili).
Hassani — strzelbonosiec pani
Ongwatoha — strzelbonosiec pana } (Wanyamouesis).
Kassaha — strzelbonosiec Henryka
Salim, do obsługi namiotu, tłómacz
Hanissi, do obsługi namiotu } (Swahili).
Yusuf, kucharz
Kibiriti, nurek
Filip, do obsługi namiotu misyonarza (Masai).
3 osły i 1 muł.

Debiut nasz chcemy rozpocząć od lasów Kinankop, gdzie, według zdania mgra Allgeyera, można zawsze spotkać słonie. Wkraczamy odrazu do lasu juniperusów i spostrzegamy znów jezioro dopiero z wysokości pierwszego urwiska. U stóp naszych rozciąga się olbrzymia równina, a na niej gdzieniegdzie widać zebry i kongonis'y (*Bubalis Cokei* — rodzaj dużej antylopy). Guy puszcza się wraz ze swymi strzelbonoścami na trzy strusie. Wielki drop i szakal ruszają z pod samych nóg naszych, prawdopodobnie dlatego, że nie możemy strzelać, aby nie zwrócić uwagi strusi. Posuwamy się przez godzinę na ulewnym deszczu, otoczemi jakby gęstą mgłą, aby nareszcie przybyć na brzeg wielkiego parowu, pokrytego olbrzymiemi juniperusami, na których zwieszają się siwe mchy, zwane w Ameryce „brodami Hiszpanów". Słychać na dnie szum strumienia, a ten odgłos, zamiast budzić w nas uczucie przyjemności, wywołuje raczej dreszcze w naszem ciele! Guy przybywa z bukietem cudownych mieczyków (*glaiculs*) — zamiast strusiów. Nareszcie ogień trzeszczy, pieką się pataty (słodkie kartofle), a nasz braciszek (misyonarz) wyciąga buteleczynę koniaku ze swego worka, co wszystko razem wzięte, polepsza nasze położenie. Lecz Guy spostrzega się, że nie znajdujemy się jeszcze w miejscowości Djabiné, gdzie ma się z nami połączyć karawana; trzeba jeszcze przejść strumień i posunąć się o kilometr dalej, aby wypełnić dzisiejszy etap 22 mil. Wkrótce też nadciąga karawana.

Na obiad mamy zająca i pentarkę, co wystarcza na trzech mężczyzn i jedną kobietę. Poczem wsuwamy się do naszych worków[1]), aby rozgrzać skostniałe członki.

1 sierpnia. Djabiné. Budzimy się przy bladych promieniach słońca, które złocą wielkie drzewa wokoło nas. Guy i misyonarz idą na wyprawę, ja zaś mam zamiar naszkicować brzegi strumienia. Dostaję się tam z obozu po ścieżce, wydeptanej przez słonie; bez niej ten nieprzebyty gąszcz lian, bambusów, olbrzymich pni, pokrytych paprociami, byłby wprost niedostępny. Strumień jest ujęty dwiema skalistemi ścianami; malując, mogę podziwiać wspaniałą roślinność podzwrotnikową.

Hassani zabija prześlicznego ptaka o zielonych i czerwonych barwach (*Harpactes* — z rodzaju Trogonów). Z chwilą, gdy pierwsze krople deszczu zaczynają padać, wracam szybko do obozu, gdzie zastaję Henryka, smętnie zainstalowanego, w szałasie z bagażami. Zaraz po śniadaniu przenosimy się do jego namiotu, gdyż, po kilku wstępnych grzmotach, straszna burza nadciąga. Pierwszy powraca braciszek, zmoknięty do ostatniej nitki, lecz przynajmniej widział tropy słoni w lesie. Guy powraca jeszcze więcej przemoknięty: strzelał on do kongonisów i do zebr, w chwili, gdy burza zdawała się przeciągać bokiem; lecz być może, wskutek silnego wstrząśnienia powietrza, wywołanego silną detonacyą ekspresu cal. 450, wiatr zmienił swój kierunek i napędził nam burzę. Wobec tych błyskawic i piorunów, gdy strzelby służyły zamiast piorunochronów, położenie musiało być wielce nieprzyjemne, jak również pod juniperusami, z których wiele zostało poszarpanych przez pioruny. Guy przyznaje, że miał porządnego stracha przez ciąg tej strasznej nawałnicy.

Pokrywamy grubem płótnem rusztowanie przyszłej naszej sali jadalnej, gdyż nie było czasu na pokrycie jej słomą. Tworzymy tym sposobem doskonałą izbę. Rozpaliwszy duży ogień u drzwi wchodowych, otuleni w nasze płaszcze, możemy nareszcie rozgrzać swe członki.

(*C. d. n.*).

[1]) Nie wiemy, właściwie, jakie drzewo Szanowna Autorka nazywa juniperusami, gdyż *Juniperus* jest nazwą łacińską jałowca, a według Dykcyonarza Historyi Naturalnej d'Orbiguy'ego rośliny tę są właściwe tylko półkuli północnej.

(*Przyp. tłóm.*).

[1]) Kołdry w formie worków.

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

17 lutego. Pożegnawszy państwa Muray'ów, opuściliśmy Hambantotę o świcie: my dwoje w bryce, a Soult, kilku coolisów i Ferek piechotą. Ten ostatni przypomniał sobie widocznie afrykańskie pochody, bo biegł wesoło przed nami ze strzelbą na plecach, wyprzedzając daleko, zwolna wlokącą się brykę.

Dobra droga, rodzaj wązkiej szosy, ciągnie się kilka mil jeszcze poza Hambantotą, jakby ostatni ślad cywilizacyi, odprowadzającej podróżnego przed wkroczeniem do dzikiej dżungli. Za nią ustaje wszelka droga we właściwem znaczeniu tego słowa. Wązkie ścieżki, utarte gdzieniegdzie rzadko kursującemi po nich brykami, stanowią jedyny ślad komunikacyi, możliwej tylko dla tak pierwotnych zaprzęgów, jakiemi są dwukołowe bryki wołowe. Jedyny to sposób, acz

bardzo niewygodny i powolny, podróżowania w tych stronach.

Droga ciągnie się wzdłuż morza; mijamy słone jeziora, i wkrótce dżungla obejmuje nas i wokoło otacza. Ale mizerna to dżungla: brak w niej jakiegokolwiek wyższego drzewa, a przedewszystkiem wysmukłej palmy, której strefa ustaje daleko przed Hambantotą. Roślinność nizka, gęsta, karłowata, zbita w gęstą masę ciemnego gąszczu tarniny, mirtu, kaktusów, euphorbii i t. zw. drzew mlecznych o grubym, mięsistym liściu, którego soku jadowitego, a białego, jak mleko, strzedz się należy, bo przy dotknięciu skórę przepala i rani.

Stada wodnych i brodzących ptaków, pelikany, śnieżne czaple, czerwononogie kulony, kormorany ożywiają piskiem i gwarem słone jeziora, lecz nie zatrzymujemy się dla nich: śpieszno nam dalej. Pawie, przez drogę przemykające, przypominają mi dżunglę indyjską. Pawi tu mnóstwo, ale, jak gdyby wiedziały, że w kraju budyzmu nie stoją pod zasłoną kultu Brahmy, nadzwyczaj są ostrożne i z trudnością podejść się dają. Gatunek ich ten sam, co w Indyach i u nas (Pavo cristatus).

W południe dobijamy do Bundala, gdzie w resthousie zastajemy Stefana z karawaną i przygotowane śniadanie. Rest-housy, czyli domki zajezdne, podobnie jak „bungalowy" w Indyach, znajdują się wszędzie koło dróg w Cejlonie, nietylko przy wielkich traktach w głębi wyspy, lecz wogóle wszędzie, choćby w najniedostępniejszej głuszy leśnej i są tam istną opatrznością dla podróżnych. Mniej wygodnie są urządzone, niż „bungalowy" w Indyach; począwszy od Hambantoty, brak w nich nawet wszelkich sprzętów, kuchni i t. p. Ale i dach nad głową i cztery ściany wiele znaczą dla podróżnego, szczególnie w czasie słoty i pory deszczów. W każdym takim domku zajezdnym jest książka, do której podróżny zapisuje swoje nazwiko, dzień przybycia i odjazdu.

Pragniemy pierwszego dnia jaknajdalej się zapuścić, aby rychło dostać się do dobrych shooting grounds. Wysyłamy śpiesznie karawanę i po śniadaniu w ślad za nią ruszamy konno na najętych kucykach.

Odtąd już jakoś raźniej myśliwemu na sercu. Ptactwa coraz więcej, tropy jeleni i dzików krzyżują się w piasku; spostrzegamy nie bez pewnej emocyi pierwsze ślady słoni.

Dziwną i charakterystyczną cechą fauny cejlońskiej jest to, że zaczyna się ona pokazywać tam, gdzie ustaje cywilizacya i ludzkie osady. Różni się tem od fauny indyjskiej. W Indyach z okna pociągu kuryerskiego można spostrzedz nieraz stada antylop i gazelli, oraz bawić się widokiem wszędzie licznych papug i małp; na Cejlonie przeciwnie, od Colombo począwszy aż do kresu stron cywilizowanych i zamieszkanych, świat ptasi i zwierzęcy jest jakby wymarły. O ile wegetacya wszędzie pyszna i bujna, o tyle fauna słabo jest reprezentowana; jedynie brzydka wrona czarna (Corone splendens), gatunek kawki, wszędzie się uwija, psując raczej obraz wspaniałej roślinności, aniżeli uroku mu dodając.

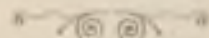
Stary Maulan dostrzegł nad brzegiem stawku wylegiwającego się na słońcu, alligatora. Podkradłem się do niego i strzeliłem. Słyszałem wyraźnie uderzenie kuli o twardą skorupę cielska, ale zdołał, farbując, umknąć do wody, jak się to zwykle zdarza. Szczęśliwej kuli potrzeba, aby bestyę ubezwładnić na miejscu, ażeby się do wody nie dowlokła.

Przeprawiamy się wpław przez bystro płynącą i głęboką rzekę Mahageni Ganga i na przeciwległym brzegu zabijam pierwsze na Cejlonie zwierzę w postaci małpy. Pierwszy i ostatni raz mi się to przytrafia, bo przykry widok postrzelonego zwierzęcia, które w ostatnich podrygach niemal ludzkim wzrokiem na zabójcę z wyrzutem spogląda i ludzkiemi gestami za ranę się chwyta, odstręcza od tego łatwego, a bezużytecznego sportu.

Na Cejlonie żyją trzy, czy cztery gatunki małp, z których najpospolitszym jest Semnopithecus cephalopterus; do niego właśnie zabity przezemnie okaz należał. Licznemi stadami zamieszkują one najczęściej w pobliżu rzek i jezior, trzymając się cienistych konarów rosłych drzew kambuku i tamaryndy, wśród których śmieszne hopki i harce wyprawiają. Z niesłychaną zwinnością i bystrością przeskakują z jednego drzewa na drugie, czasem, jak kule, spuszczają się na dół i znikają w zaroślach. Nie są zbyt ostrożne i dają sposobność łatwego strzału. Przestraszone, w mgnieniu oka znikają powietrznemi szlakami, wśród trzasku i łomotu gałęzi; nieraz ten trzask łudzi myśliwego, który go bierze za łamanie w gęstwinie najgrubszego zwierza.

Przed zachodem dobijamy do Kirinde, naszego pierwszego etapu, i w rest-housie rozkładamy się wygodnie na nocleg. Rest-house w Kirynde nieco lepszy od innych domków zajezdnych w dżungli; posiada jako jedyny mebel, duży stół czworokątny, cały pokryty odręcznemi, wyrytemi w drzewie podpisami przejezdnych i myśliwych, którzy w swych pochodach tu odpoczywali. W licznym szeregu nazwisk odszukuję tylko kilka nieangielskich, a między niemi podpisy: księcia de Lucinge z Paryża, który przed dziesięciu laty kilkanaście słoni w tej okolicy ubił, niejakiego Scheiblera, sportsmena włoskiego, znanego mi z Indyj, który w tym roku z młodziutką małżonką miodowe miesiące w dżungli spędził, wreszcie inicyały jednego z książąt rosyjskich, który przed kilku laty polował w tych stronach.

(C. d. n.).



Jak leczono psy sto lat temu.

(Ciąg dalszy).

O puszczaniu krwi.

W wielu przypadkach przy opisywaniu różnych chorób, jak się już rzekło, puszczenie krwi jest nader potrzebne, która to operacya wymaga znajomości, wprawy i doświadczenia łowczego, mianowicie w tem, aby umiał zadeterminować takie zdarzenia, w których ona jest potrzebna i pożyteczna. Rzecz albowiem niemałej jest wagi wypróżniać humor, tak dla organizacyi kosztowny, a ileby razy to bez istotnej potrzeby wykonane było, tylekroć dla zwierząt niepowetowana stałaby się przez to szkoda.

Puszczenie krwi dzieje się za pomocą nożyka lub udzielnego lancetu, z żyły podkolannej, albo szyjowej. Przed momentem puszczania krwi, przewiązać należy sznurkiem lub tasiemką żyłę wyżej tego miejsca, w którem ma być przecięta, przez co nabrzęka, i stając się widoczną, ułatwia operacyę. Gdy jej tyle ujdzie, ile potrzeba wymaga, jednak nie więcej nad 5 uncyj, odwiązać przewiązkę, przeciętą skórę ścisnąć hubką dębową *Ubita agaricus*, lub kurzawką *Lycoperdon bovista* założyć i płatkiem obwiązać, a tak płynienie krwi już przestanie.

O wydobywaniu żyły z pod języka.

Od dawnego czasu zdaniem było wielu dawniejszych weterynarzów, że jakoby wyrznięcie z pod języka żyły, przyległej do kanałów ślinowych, płaskiemu robakowi podobnej, na cal długiej, miało zabezpieczać od wścieklizny; lecz ten środek słusznie jest dziś poczytany przez rozsądnych weterynarzy za dziwaczny i żadnego wpływu na organizm mieć niemogący.

O gruczołach, czyli ślinogorzach.

Psom młodym po wielkiej pracy i gwałtownem oziębieniu, nabrzękają znacznie gruczoły z obu stron szyi. Te w stanie naturalnym zdrowia niewiększe bywają nad grubość palca i nie są połączone z krtanią, czyli kanałem oddechowym płuc, a przeto nie sprawiają żadnego bólu. Lecz gdy z powyższych wypadków nabrzękną i znajdzie się inflammacya w krtani, wówczas, ze stopniem wzmagania się bólu, chęć do jadła ustaje powoli, a w końcu pies zupełnie nie je. Gdyby mu nie dać małej nawet pomocy, gruczoły pomienione zainflamowałyby się, a przejścia powietrza nie dopuszczając, psa niezawodnieby udusiły. W każdym razie po wielkiej pracy w czasie jesiennym i chłodnym, jeżeli pies nie przyjmie jadła, opatrzyć potrzeba, czy nie ma brzęknięcia pomienionych gruczołów? Jeżeli się znajdzie mała nabrzękłość, w dzień po trzy razy zmiękczać palcami i oddzielać od gardziela nacieraniem ręką. Jeśliby złe jeszcze nie ustawało, krew puścić pod językiem i dać psu na szyi z obu stron szczęki po jednej zawłoce, oraz dwa razy lewatywę rozwalniającą; a tak w przeciągu tygodnia pies powróci do pierwotnego stanu zdrowia.

O zatrzymaniu uryny.

To się przytrafia psom od zbytniego rozgrzania się podczas gwałtownej pracy, w dni gorące, albo od wielkiego rozpalenia się od suki. W takim razie dobrze skutkuje lekarstwo następujące: weź ślazu ogrodowego, kopru, każdego po garści i jodłowcu dwie garści, utłuc to wszystko razem, nalej garncem wody lub piwa i gotuj do pozostałości trzeciej części, ostudź i takowy dekokt po trzy razy na dzień do gardła psu wlewaj. Albo, zamiast pomienionego lekarstwa, dawaj saletrę rozpuszczoną w jakiemkolwiek pojle; gdyby zaś przypadła gorączka, lub krew z uryną odchodzić zaczęła, należy upuścić krwi. W tym razie pokarm mleczny dobrze służy.

Sposób wygubiania pcheł u psów.

Latem, gdy rozmaite owady obficie wylęgają się i spracowanemu psu nie zostawiają spokojnego spoczynku, myśliwy powinien dbać, aby ten pasorzytny owad, przeszkadzając we śnie, nie przyczyniał się do ich osłabienia. Wygubiają się pchły kąpaniem w wodzie rzecznej ciepłej i czesaniem, codzień powtarzanem za pomocą grzebienia, oraz przez obmywanie dekoktem z ziół piołunu i macierzanki. Albo zamiast pomienionego dekoktu, wziąć liści tytuniu i w occie namoczyć przez 24 godziny, i tym płynem wymyć. Psiarnie dobrze przewietrzyć i słomą świeżą wysłać należy. Także do wypędzenia pcheł z psiarni jeszcze wyścielanie olchowemi gałęziami pomaga.

O ranach i innem kalectwie.

W czasie polowania na czarną zwierzynę dobry i porywczy pies często odnosi kalectwo. Polując na dzika, zdarza się nader często, że ten kłem rani brzuch aż do wnętrzności; w takim razie, jeżeliby przez ranę wyszły kiszki psa, należy zimną wodą je spłókać, oliwą lub wieprzowym tranem, tylko nie solonym, wysmarować i do brzucha odłożyć, brzegi rany igłą kończastą z nitką, mocno tłustością posmarowaną, zaszyć i ranę, aż do zagojenia zupełnego, pomienioną tłustością smarować.

W czasie tej kuracyi jadło lekkie, wpół płynne, dawać, a za napój serwatkę, zaprawioną szczyptą siarki.

Często się zdarza, polując w lasach gałęziami, lub cierniami zawalonych, że psy kaleczą się, szarpią niemi albo do nóg zapędzają ostre kolce. Ranę, zadaną kolcem, trzeba ściśle opatrzyć, ciało obce wydobyć i natychmiast okładać wodą, witryolem zaprawioną (do kwarty 10 kropel), toż samo okładanie służy i w zadraśnieniach prostych. Jeżeli nastąpi gnojenie i materya z rany odchodzi, wówczas następującej użyć maści. Weź wieprzowego sadła, smoły lub terpentynowego olejku po równej części i na ogniu rozpuść, dobrze zamieszaj i tą maścią co dzień po dwa razy smaruj.

(*C. d. n*).

I-e WALNE ZGROMADZENIE

Członków Galicyjskiego Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich.

W drugiej połowie marca odbyło się Walne Zgromadzenie Członków niedawno założonego w Galicyi, Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich. Posiedzenie zagaił znany myśliwy i redaktor „Łowca" lwowskiego, p. Albert Mniszek, poczem obrano na przewodniczącego p. Teofila Żurowskiego.

Przedewszystkiem p. Mniszek zdawał sprawę z czynności Komitetu prowizorycznego, wykazując, że Klub w obecnej chwili posiada 119 członków; stan kasy, po potrąceniu wydatków w kwocie 338 k. 86 h., wynosi 2,166 k. 14 h. Co do przyszłej działalności Komitet prowizoryczny nie przyszedł do stanowczej decyzyi. Jeden z członków, p. Kesselring, proponuje, aby użyć funduszu na zaprowadzenie psiarni, złożonej na razie z dwu par psów dwóch ras odrębnych. Natomiast zdaniem innego członka, p. Antoniego Skrzyńskiego, należałoby rozpocząć od założenia ksiąg rodowodowych i popisów polowych, wystaw i t. p., a przez to zachęcić ludzi do pracy. Co do jednego wszyscy członkowie Komitetu byli zgodni, a mianowicie, żeby przedewszystkiem uwzględnić materyał krajowy. Okazało się bowiem, że liczni myśliwi krajowi posiadają psy doskonałe, niema więc potrzeby sprowadzania reproduktorów i suk z zagranicy. Komitet usiłował sprowadzić parę szczeniąt z Czech, lecz jedno z nich zdechło na nosaciznę, a drugie już się znajdowało w drodze na tamten świat.

Po udzieleniu Komitetowi prowizorycznemu absolutoryum, przystąpiono do wyborów Zarządu. Na prezesa Klubu obranym został p. Stanisław Matkowski, na wice prezesa — p. Albert Mniszek, a na członków Zarządu — pp. Edward Münter, Antoni Skrzyński i Teofil Żurowski.

Następnie zabierali głos niektórzy członkowie Klubu w sprawie jego działalności na przyszłość. Pierwszy przemawiał p. Kien, który swoje wywody streścił w pięciu następujących punktach: 1. Spowodować teoretyczne kształcenie się osób, mających się zająć tresurą. 2. Materyał do chowu wybierać w kraju. 3. Dla poznania materyału urządzić próby polowe, połączone z premiowaniem. 4. Materyał, uznany za zdolny, skupować. 5. Oddawać psy zakupione zawodowym treserom i osobom, dającym gwarancyę, że działać będą w myśl Klubu, na dalsze utrzymanie pod kontrolą Wydziału. Przytem p. Kien wnioskował, aby wszelką akcyę Klubu wstrzymać aż do wydania dzieła Oberländera, wychodzącego obecnie, jako dodatek do „Łowca Polskiego".

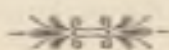
Przeciwko temu silnie zaoponował p. Krogulski, dowodząc, że dla dobra Klubu należy rozpocząć natychmiastową akcyę. Następnie jeden z najczynniejszych członków Klubu, p. Kesserling, przemawiał za natychmiastowem zakupieniem dwu par psów, przyczem koszta zakupu i urządzenia psiarni obliczał na 1,000 k., na roczne utrzymanie zaś psiarni i tresurę psów preliminował drugie 1,000 k. Według projektu p. Kesserlinga, dopiero po dwóch, a najwyżej trzech latach,

Klub mógłby urządzić próby polowe, połączone z premiowaniem najlepiej ułożonych psów.

Wniosek p. Kiena popierali pp. Czarkowski-Golejewski i Drahanowski, przyczem ten ostatni domagał się natychmiastowego założenia ksiąg rodowodowych. P. Young proponuje podniesienie wkładek członkowskich do 10, a nawet 20 k., przeciwko czemu zaoponowali pp. Münter i Rylski; poczem ten ostatni postawił konkretny wniosek, aby przekazać Wydziałowi wszystkie poruszone kwestye do załatwienia, polecić Wydziałowi, aby do opracowania tych wszystkich spraw dobrał sobie do pomocy wszystkich trzech panów: Drahanowskiego, Kiena i Kesselringa; polecić Wydziałowi, ażeby z opracowaniem tych wszystkich spraw przyszedł przed Walne Zgromadzenie, które będzie zwołane w czerwcu podczas zjazdu łowieckiego. Wniosek ten przyjęto. Do Wydziału też odesłano wnioski nieobecnych członków, pp. Rosenberga (w sprawie wyboru rasy dla klubu) i W. Słoneckiego (w sprawie podwyższenia wkładek). Poczem przewodniczący zamknął posiedzenie.

Sprawozdanie niniejsze skreśliliśmy podług obszernego referatu, zawartego w Nr. 84-ym „Łowca“ lwowskiego z r. b.

J. S.



O KARMIENIU PSÓW.

Każdemu myśliwemu nie może być obojętną kwestya odżywiania wiernych towarzyszy naszych polowań—psów.

A jednak w piśmiennictwie łowieckiem u nas pisze się o tem trochę za mało, jakkolwiek nikt nie zaprzeczy, że pies myśliwski, nie mówiąc już o chartach, jamnik, czy wyżeł, gończy, czy foksterier, powinien być zdrowym i dobrze odżywianym, aby mu sił nie zabrakło wtedy, kiedy całe niemal powodzenie polowania od tego zależy. Pomijamy polowania z naganką, kiedy nasz wyżeł nie chce odejść od nogi, kiedy zmęczony ogar odmawia posłuszeństwa, wtedy bowiem i myśliwym nie pozostaje nic innego, jak wracać do domu. Zdarza się przeczytać tu i owdzie, że psom należy dawać jeść najwyżej dwa razy dziennie, ale co dawać, o tem się mało, albo nic nie mówi.

Psy, utrzymywane przez zamożniejszych mieszkańców miast, żywią się zwykle resztkami od stołu, obok braku dostatecznego ruchu, co jest udziałem wszystkich niemal psów miejskich; albowiem ich właściciele pospolicie boją się faworytów swoich wypuszczać na ulicę, z obawy, dość zresztą uzasadnionej, ile że po miastach istnieje dużo wielbicieli rodu psiego, którzy swoje uznanie dla psów rasowych objawiają w ten sposób, że je kradną; to też nie o tych psach, pospolicie przekarmionych, chciałem pisać.

Inna rzecz zupełnie z myśliwym, mieszkającym na wsi: taki, jeśli chce mieć psy na wszelkie rodzaje polowania, musi się dobrze oglądać, aby swego budżetu nie przekroczył; albowiem porządne utrzymanie kilku, a czasem kilkunastu psów, kosztuje dość drogo. To też u mniej zamożnych myśliwych często się widzi psy, karmione bez mała chudym krupnikiem, lub też osypką zaparzoną pomyjami, co dla zwierzęcia mięsożernego, jakiem jest pies, stanowczo nie wystarcza. Z drugiej zaś strony nie brak głosów przestrzegających przed dawaniem psom mięsa. Najlepiej jest, trzymając się drogi pośredniej, łączyć we właściwej mierze pokarmy mięsne z roślinnemi, starając się zachować przytem pewną rozmaitość.

Brakowne mięso po jatkach, tak w Warszawie, jak i po miasteczkach, kosztuje bardzo tanio, od 1 do 2 kop. funt, i takiego mięsa, niezależnie od pokarmów roślinnych, pies otrzymywać powinien od 1 do 2 funtów dziennie, stosownie do wzrostu. Jeszcze taniej kosztuje krew, która zwykle po jatkach bywa wylewana. Za krew z jednego dorosłego bydlęcia płaci się zwykle 10 kop., i to stanowi dobrą omastę do osypki, lub też kartoflanki, dopóki krew świeża, bo po paru dniach psy ją niechętnie jedzą; aby dłużej w należytym stanie krew ową utrzymać, należy ją, zaraz po otrzymaniu, zaparzać ukropem; w takim stanie dla psów niewybrednych może być przechowana blizko przez tydzień, a nie jest to nic innego, jak drogo opłacany Hematogen dla niedokrwistych ludzi.

Tak odżywiane psy, czy to młodsze, czy starsze, doskonale wyglądają, rozwijają się prędko i dobrze, nadto lekko bardzo przechodzą zabójczą dla wielu młodych psów, nozaciznę.

Dodawszy do tego niezbędne, zwłaszcza dla młodych piesków, świeże powietrze i ruch dostateczny, jeśli to tylko nie będą jakieś skarłowaciałe okazy wskutek nieprawidłowego krzyżowania w blizkiem pokrewieństwie, będziemy mieli psy silne, zdrowe i wytrwałe, zgoła niepodobne do rachitycznych okazów, które na warszawskich wystawach psów zdarzało się widzieć pomiędzy psami najbardziej rasowemi. Dla psów myśliwskich najbardziej racyonalnem będzie karmienie dwa razy dziennie, rano i wieczór, chociaż nie oba razy strawą gotowaną. Można np. rano, przed pójściem na polowanie, dać psu kawałek surowego mięsa i kromkę chleba; to mu zapewni posiłek chociażby do samego wieczora, i wtedy pies otrzyma strawę gotowaną, pod warunkiem, aby nie była gorąca. Zresztą trudno jest określić ściśle reguły, ile psu wogóle jeść dawać potrzeba, albowiem jeśli u ludzi bywa, że jedni jedzą więcej, drudzy mniej, to u psów różnica ta bywa jeszcze większa.

Przestrzegam tylko, co do dawania psom koniny w czasie sezonu polowania, albowiem mięso końskie, przynajmniej surowe, najlepszym nawet psom stanowczo psuje węch na parę dni, więc dawania koniny w tej porze unikać należy.

Uwagi te o odżywianiu psów zamykam zaleceniem, aby obok tego, młodym psom mniej, niż rocznym, możliwie najwięcej zapewniać swobody i ruchu, o ile się to da pogodzić z racyonalną tresurą; nie obejdzie tu się bez ofiar w postaci zaduszonych kur lub kaczek, ale od tego odzwyczaić psy dość jest łatwo; takie wybryki bywają zwykle cechą płochej młodości, zaś psy, wychowane w niewoli, będą coś w rodzaju dzikich zwierząt, hodowanych w klatkach; będzie tam rasa, zewnętrzny wygląd, ale o sile wytrwałości i wogóle energii życiowej, nie może być mowy; nadto zaś dłuższy pobyt w zamknięciu, nie zawsze należycie przewietrzanem, z czasem psuje psom węch, neutralizując tym sposobem przymioty szlachetnego ich pochodzenia.

J. Konczewski.

W PÓŁNOCNEJ PERSYI.

„W Astrachaniu za Krasnym Mostem, dom Charkina“. Tak telegrafowałem z Orenburga pewnemu Z., naznaczając mu tę miejscowość, jako punkt naszej schadzki. Z. na oznaczony termin stawił się punktualnie, i to w całym myśliwskim rynsztunku. Zielona, jak trawa, koszula, na wierzch wypuszczona, szerokim w biodrach ujęta pasem, za którym zatknięty sterczał długi nóż myśliwski i przytroczony wisiał szeroki kindżał kałmucki, przez barczyste plecy przewieszona rusznica, w ręku sztucer Berdana, wysokie po za kolana buty, wreszcie olbrzymich rozmiarów borsucza torba, mieszcząca w sobie cały arsenał amunicyi, chirurgicznych i opatrunkowych przyrządów, dopeł-

niały iście bohaterskiego wyglądu, a pełna dobroci twarz Z. wzbudziła od pierwszego wejrzenia mą sympatyę i zaufanie do niego.

Po załatwieniu reszty formalności i dopełnieniu wszelkich zapasów, lokujemy się na pokładzie kołowego statku X., ku granicom Persyi dążącego, i przy cichej, ciepłej pogodzie pewnego majowego poranku podnosimy kotwicę i ruszamy w daleką, nieznaną nam drogę. Niebawem mijamy Petrowsk, Derbent daleko pozostaje nam w tyle. Suniemy raźno po lustrzanej powierzchni spokojnych wód morskich, znacząc za sobą przebytą drogę długą smugą wzburzonej białej piany. W Bakińskim porcie statek dopełnia swego ładunku zabraniem 300 Persów, dążących na robotę budującej się podówczas kolei Zakaspijskiej, i po kilkugodzinnej pracy wyładowywania i ładowania przeróżnych towarów, obrzydliwego warczenia wind, stuku pomp, wrzaskach, bieganinie, odbiliśmy od brzegów, a okrążywszy półwysep Apszeroński, zmieniamy kierunek na wschodnio południowy i na pełne wypływamy morze. Z północy zadął silny wiatr, zakołysał wodami, postrzępił je i pofałdował, a pędząc je z niepojętą siłą ku nam, wzdyma je coraz wyżej, zlewa w olbrzymie wały i uderza niemi w boki naszego parowca. Ten się chwieje i zatacza coraz silniej, to kładąc się całkowicie na bok, to znów zanurzając swój olbrzymi, żelazny nos, w ciemne wody, to podskakuje na same grzbiety bałwanów, zawisa na chwilę w powietrzu, drżąc i trzęsąc całym korpusem, jakby chciał z siebie otrząsnąć zalewające go fale, lub odsapnąć i nowej nabrać siły do dalszej walki z rozhukanym i rozszalałym żywiołem. Rozległy się wewnątrz stękania i krzyki, i zwykłe w tych wypadkach zaczęły się sceny, a najgorszymi okazali się tu marynarzami nasi biedni Persowie. Jak przed burzliwą nocą czarne szpaki oblegną słomianą strzechę budynku, tak nasi znajomi oblepili burty parowca, i swe czarne, w ciemne fezy przybrane głowy, co chwila przewieszali za poręcz i oddawali należny dług morzu. Trzymał się jeszcze czas jakiś mój Z., ale wreszcie i on podbiegł do poręczy, uczepił się jej silnie i z wyrazem głębokiego wzruszenia na bladej twarzy, zajrzał raz i drugi za krawędź statku, aż w końcu zupełnie przewiesił się i do samego Krasnowodu nieruchomie już leżał.

Po wysadzeniu na ląd nieszczęśliwych naszych męczenników—Persów, popłynęliśmy wzdłuż brzegów azyatyckich ku perskiej granicy. Mało zapewne komu miejscowość ta jest znaną, a tem mniej mała mieścina Czigislar, nad prawym brzegiem Atreka położona, stanowiąca granicę między posiadłością Persyi a Rosyi azyatyckej. Naga nędza bije tu każdego przybysza w oczy. Prócz kilkudziesięciu glinianych lepianek, koszar żołdackich, dwóch domów oficerskich, próżnobyś, podróżniku, tu szukał hotelu, karczmy, dorożki lub tragarza. Z mozołem i stratą drogiego czasu zaledwie udaje mi się odnaleźć jakiś ze starych pak i pudeł sklecony domek, bez okien, drzwi, a zamiast dachu, pokryty staremi rogóżkami i brezentem. Nie mając żadnej nadziei odnalezienia czegoś lepszego, lokuję się w tej norze, z pomocą Z. rozstawiam swe paki, bańki i pudła na ławach, ściany przyozdabiam bronią, odzieżą, i przyznaję, iż po krótkim czasie przywykam do tej jaskini i czuję się ponicką̨d, jak u siebie.

Z brzaskiem dnia następnego już uganiamy się z Z. za jaszczurkami, wężami, zbieramy wszędzie gady i owady, palimy bez rachunku do wron, kruków, mew, orłów i t. p. zwierzyny. Robiąc w tym celu liczne i w różnych kierunkach ekskursye i wysyłając ogromne paki naszych zdobyczy i preparatów do przystani, a niemniej mą bronią angielską, jak i angielskiem odzieniem mem, wzbudziłem we wszędzie obecnej i wszystko wiedzącej policyi, podejrzenie szpiega, czy agenta politycznego obcego jakiego kraju, a wyprowadzenie z błędu tych stróżów bezpieczeństwa kosztowało mnie niemało. Widząc nas ciągle, polujących na węże, zdzierających skóry z ptaków i t. p., poczytano nas za waryatów i w końcu pozostawiono w spokoju.

Jak wogóle cała południowa Rosya, tak i te okolice pełne są w zimowej porze różnorodnego ptactwa, które tu obfitość pożywienia i spokój znajduje, w czasie letnim wyludniają się zupełnie i mimo ogólnie sprzyjających warunków, dziwnie małą ilość ptaków posiadają. Prócz kilku odmian mew, sroki, orla, kruka i małych kuliczków, oraz stale zamieszkującego te strony pięknego flaminga, nic tu więcej zdobyć nie mogę i, by nie tracić czasu, myślę o dalszej podróży. Zanim do jej opisu przystąpię, chcę tu wymienić niektóre stworzenia, z jakiemi po raz pierwszy się spotykam.

Największą mą uwagę zwraca tu na siebie nocna jaszczurka, gekonem turkestańskim (*Gymnodactylus Federenki*) zwana, o łusce twardej, rzadkiej, a chropowatej, który, za pomocą osobliwszego ustroju swego ogona w czasie nocnym wydaje charakterystyczne dźwięki, zwabiając niemi swe współsiostry na miłosne schadzki. Ogon ten posiada jeszcze inną, osobliwszą własność. Gekon może dowolnie, bez żadnego uszczerbku dla swego zdrowia, a tem niemniej życia, wyzbywać się swego ogona, ile razy chodzi tylko o uniknięcie niebezpieczeństwa mu grożącego. Kiedym chciał złowić to zwinne, a chytre stworzonko, zawsze umiało mi zręcznie podstawić swój kruchy ogonek, który pozostawał mi zawsze w palcach, a jaszczurka uchodziła cało. Obserwowałem polujące sowy po nocach za temi jaszczurkami, i nigdym nie zauważył, by prócz ogona sowa coś więcej upolować zdołała. Nie widziałem również w żadnem muzeum gekonów z całemi ogonami.

Drugim osobliwym reprezentantem dzikich stron tutejszych, jest żółw pustyniowy (*Homopus Horsfieldi*), który, w sprzeczności do innych stworzeń, ubarwionych zwykle odpowiednio do otaczającej je przyrody, tak wybitnie różni się od nich swą barwą. Jego olbrzymie stosunkowo, ciemne ciało odbija się od ogólnie żółtego tła piaszczystej pustyni i jakby umyślnie wystawia go na niebezpieczeństwo i napaści jego wrogów. Lecz i tu pomysłowa matka-Przyroda umiała po mistrzowsku uchronić go od zagłady, wyposażając twardym, grubym, kościanym puklerzem, pod osłoną którego jego wątłe części ciała od wszelkich uszkodzeń czują się zabezpieczone. Odporność na głód i pragnienie tego stworzenia jest zadziwiająca. Miałem parę, które zapakowane w pudle i wysłane do Petersburga przez sześć z górą miesięcy bez żadnego pożywienia i napoju po upływie tego długiego czasu jeszcze żywe do słojów ze spirytusem włożyłem. Utarte przysłowie o „żółwim kroku" jedynie do tego gatunku zapewne się stosuje. Ruchy bowiem tego pustynnika są zdumiewająco flegmatyczne: robi on na godzinę zaledwie 2 — 3 metry drogi i żółw wodny w porównaniu z nim może zaliczyć się do szybkochodów. Zagadkowem jest jego przebywanie w najgłębszej i najdzikszej pustyni piaszczystej, gdzie ani wody, ni innej, prócz kolczastych krzewów roślinności, nie spotyka się.

Spotykam również w dalekich piaskach niewielkiego chrząszcza, aptekarzem lub pigularzem zwanego (*Ateuchus variolosus*). Nagle i niepostrzeżenie zjawia on się wszędzie, gdzie tylko świeży nawóz bydlęcy się znajduje, zapewne ostrą jego wonią znęcony. Skwapliwie kładzie on w nim swe jajka, oblepia je tym materyałem szczelnie, a tacząjąc w jednym przed siebie kierunku, lepi pigułę, w trójnasób większą od siebie, którą następnie dla zabezpieczenia potrzebnej potomstwu wilgoci, oblepia grubą warstwą piasku i już z pomocą drugiego osobnika zakopuje głęboko w ziemi, poczem spiesznie powraca do dalszej roboty, póki staje materyału, czy jajek, a uskuteczniwszy to, znika również szybko, jak się pojawił w pustyni.

(*C. d. n.*). *Wł. Czerniejewski.*

OSWOJONY KULON.

(Oedicnemus crepitans).

W 1875 roku nabyłem w powiecie lipnoskim folwark, którego właściciel z powodu nieuleczalnej choroby zmuszony był porzucić gospodarstwo i przenieść się na stały pobyt do Warszawy. Dopóki zdrowie pozwalało, był myśliwym, lecz gdy go choroba zrujnowała, z całą skwapliwością zajął się dla rozrywki chowaniem i przyswajaniem dzikich zwierzątek i ptaków, pomiędzy któremi miał ulubionego faworyta dwuletniego, t. zw. przez myśliwych kulona ugorowego. Ponieważ ptak ten przeważnie żywił się pokarmami, których w mieście trudno było zdobywać, a przytem używał on zupełnej swobody, więc jego właściciel mocno się martwił, że go wziąć z sobą nie może, a skoro się dowiedział, że i ja podobnymże jestem amatorem wszelkich stworzeń, więc obdarzony zostałem prezentem z kulona. Rzeczywiście *kuliś*, bo takie nosił miano, był osobnikiem niezwykłym i w zupełności zasłużył na wspomnienie, oraz jest dowodem, jak można oswoić dzikiego ptaka przy właściwem i umiejętnem postępowaniu.

Kuliś, po wyjeździe wychowawcy, przez kilka dni okazywał niepokój, widocznie tęsknił, i ze skwapliwością szukał go wszędzie. Ja, widząc jego strapienie, starałem się wszelkiemi sposobami osładzać mu je, co skutek wywarło, bo po upływie tygodnia zupełnie o stracie zapomniał.

Z wyżywieniem kulisia podczas lata niebyło żadnego kłopotu, zwykle na żer wychodził on przed dom, w podwórze, do ogrodu warzywnego, lub nawet wylatywał w pole,—tylko w porze obiadowej regularnie zjawiał się w pokoju jadalnym i uplasowywał przy mojem krześle, czekając cierpliwie na swoją porcyę. Zimową za to porą więcej już było z nim kłopotu, bo zimna nie znosząc, niechętnie na świeże powietrze wychodził. Przeważnie przebywał w kobiecym pokoju, bo tam na kominku palił się często ogień, przed którym lubił się wygrzewać, przybierając komiczne pozy, a wtedy niemożna go było poruszyć, bo zaraz wpadał w gniew, krzycząc przeraźliwie. Zimą żywił się przeważnie gotowanem mięsem i świeżym twarogiem, niechętnie przyjmując inne pokarmy. Po zachodzie słońca i nad ranem, musiał się, wedle zwyczaju swojego rodu, zawsze porządnie wykrzyczeć, a że wydawał głos donośny i przeraźliwy, więc służba często mu tego wzbraniała, za co wpadał w złość, a nawet dziobał tych, co się ku niemu zbliżali. Do mojego pokoju raz po raz lubił zachodzić, a gdy go wziąłem na kolana, i głaskać lub delikatnie drapać począłem, wtedy wyciągał szyję, przewracał się na boki, lub skrzydła unosił, mile spoglądając swojemi wielkiemi, sowiemi ślepiami. Czasami letnią porą towarzyszył mi w pole, ale kilka razy wyrządziłem mu figla: wszedłszy do gęstego lasu, którego obawiał się ogromnie. Zrywał się wtedy na skrzydła i, krążąc wysoko ponad lasem, wypatrywał moje ruchy, a że wzrok miał sokoli, nigdy nie mogłem tak się wymknąć z lasu, aby mnie nie dostrzegł, a skoro mnie tylko ujrzał, siadał przedemną i, machając skrzydłami, okazywał radość.

Kulon ten przeżył tak u mnie dwa lata, ale trzeciej wiosny, jakoś na początku maja, przepadł raptownie. Sądziłem, że go spotkał jakiś fatalny wypadek, co bardzo łatwo zdarzyć się mogło, albowiem dosyć dalekie odbywał czasami wycieczki, tymczasem w miesiącu wrześniu, kiedy ja już o nim zupełnie zapomniałem, dają mi znać, że kuliś zjawił się i jest przed domem. Natychmiast przyszedłem przywitać niespodziewanego gościa, ale on okazał się już nie tak łaskawym, jak dawniej, i pomimo usiłowań z mej strony, nie mogłem go namówić na wejście do pokoju; po parugodzinnym pobycie odleciał i już więcej nie wrócił.

J. Biesiekierski.

Polowanie na kozice.

Od dłuższego czasu oczekiwałem z upragnieniem telegramu z Bukaresztu, który nadszedł nareszcie d. 2-go listopada zeszłego roku. Nie namyślając się więc długo, rzuciłem się do pakowania potrzebnych mi rzeczy, oraz drylinga i mannlichera rumuńskiego z lunetą.

Wolno, a nawet wolniej, niż zwykle, wlókł się pociąg z Rawy do Lwowa, ale wreszcie doszedł; poczekawszy parę godzin we Lwowie, wybraliśmy się w liczbie czterech osób w dalszą drogę. Różne tematy poruszając, a głównie myśliwskie, spędziliśmy miło czas na gawędce, aż dojechaliśmy wreszcie wieczorem do Bukaresztu, gdzie oczekiwał nas nasz przyjaciel i właściciel polowania na kozice.

Oglądnąwszy miasto trochę przez następny dzień, pojechaliśmy w góry do Kronstadtu, a ztąd końmi do Torczvar. Tu wziąwszy broń do rąk, wyszliśmy dodnia w góry, w południe doszliśmy do koliby, a po małym odpoczynku odbyliśmy dalszy spacer z bronią na szczyty.

Przez dwie godziny szliśmy razem, poczem rozdzieliliśmy się, każdy z przewodnikiem w inną stronę. Ja za przewodnika miałem dozorcę tamtejszego polowania w osobie Niemca, Tuscha, bardzo oryginalnej, górskiej figury. Postępowaliśmy, nie widząc żadnej żywej istoty, ale wśród ślicznych krajobrazów, ukazujących się przed nami co chwila. To mi jednak na razie nie wystarczało, pragnieniem bowiem mojem było ujrzeć jaknajprędzej po raz pierwszy kozicę. Niedługo też kazały one na siebie czekać, gdyż na jakie 600 kroków, wskazał mi przewodnik jedną sztukę, która bardzo malowniczo wyglądała na samym szczycie góry, i rozglądając się w dół, na nas, ukrytych za krzewami, uwagi nie zwracała. Po długiem oglądaniu jej przez szkła, złożyłem się, mierząc przez lunetę, ale była tak daleko, że trafić było prawie niepodobieństwem, pamiętając zaś przytem, że gospodarz prosił, by tylko napewno dziś strzelać, by sobie przy przyszłego polowania nie psuć, odłożyłem sztuciec bez strzału. Długo jeszcze zachwycałem się tym pięknym widokiem, aż ściemniło się i byłem zmuszony wracać do koliby. Żmudna to bardzo praca iść, względnie schodzić po bardzo niebezpiecznych przejściach po nocy, wprawdzie czas był śliczny, księżycowy, ale zwracanie pilne uwagi na każdy swój ruch, by szybko na dole się znaleźć, nie pozwalało naturą się zachwycać. Doszedłszy do koliby, przekonałem się, że wszyscy użyliśmy dziś tylko zbrojnej przechadzki po górach i nikt do strzału nie doszedł.

Po przespanej nocy pod i na paru gałęziach jodły, ruszyliśmy jeszcze prawie po ciemku znów w te same skały. Ja miałem teren myśliwski trudniejszy, niż poprzedniego dnia, i tem mniej miły, że nie mogłem nigdzie kozicy dopatrzyć, mimo dokładnego oglądania przez szkła każdej szczeliny skały, w których one najczęściej przebywają. Postępowałem jednak ciągle wyżej, a mając za przewodnika górala Rumuna, nie miałem do kogo słowa przemówić, nie władając tym trudnym dla mnie językiem. To przymusowe milczenie, potęgowane ciągłemi, niebezpiecznemi przejściami, które mi kazał przebywać przewodnik, usposabiały mię do niego mniej czule, czego wyrazem były częste epitety polskie i ruskie, przeciw niemu zwracane, które wywoływały jednak na jego obliczu tylko naiwny jakiś uśmiech, co mnie tembardziej

irytowało. W południe spotkałem się z gospodarzem naszym, który mi poradził, by nie iść teraz dalej, bo kozice zwykle w południe do godz. 2-ej spoczywają i nie żerują, zająłem się więc wtedy fotografią górskich widoków. Nagle z prawej strony ujrzałem dwa poruszające się małe punkciki, radość we mnie wstąpiła na chwilę, przypatrzywszy się jednak przez szkła, skonstatowałem, że to mój towarzysz z przewodnikiem, drapie się pod górę po laury.

I zdobył je rzeczywiście, ubiwszy kozicę. Dzień ten był również szczęśliwy dla wszystkich moich towarzyszów, gdyż wszystkich zastałem już późno wieczorem przy posiłku, obok koliby, z rozradowaną twarzą z powodu zdobycia po jednej kozicy, w tym dniu bowiem padły trzy sztuki, dwa kozły i jedna koza, gdyż i tę wolno nam było strzelać. Wiele mi opowiadano o wrażeniach z powodu ubicia kozic, i podobno najpiękniejszy widok jest, gdy trafiona, prawdziwie na łeb na szyję pada z góry w przepaść. Towarzyszka nasza, gdyż gremium nasze składało się z czterech myśliwych i jednej myśliwej, ubiła celnym strzałem bardzo ładną kozicę na dobrych 150 kroków z Manlichera 6,7 mm., która rulowała na miejscu, jak to wszystkie zresztą sztuki trafione czyniły.

Ja, niestety, dzień ten zaliczyć muszę dla siebie do „pochmurnych", gdyż, mimo wszelkich starań, do strzału nie doszedłem.

Następnego dnia polowaliśmy z naganką na rysia i niedźwiedzia, które podobno w bliskości naszej koliby przebywały, ale widocznie uznały one, że bliższe zapoznanie się z myśliwymi z Galicyi, mogłoby narazić na szwank conajmniej ich futra, więc niewidziane przez nas, ani przez naganke, wycofały się w porę.

Następnego dnia wyszliśmy znów dodnia przy latarce w góry na kozice, gdzie jeden miot na nie był projektowany. Po przebyciu jednej, ale potężnej góry, rozeszliśmy się, ja na zachód z Tuschem, a moi towarzysze w inne świata strony. Dzień śliczny, słoneczny, upiększał widok nagich skał, pokrytych w znacznej części twardym, jak lód, śniegiem. Szliśmy tak do południa, i doszedłszy do miejsca, gdzie miałem się z resztą towarzystwa zejść, rozglądnąłem się, czy kogo nie widać i niebawem spostrzegłem nadchodzących towarzyszy. I znów św. Hubert nagrodził piękną zdobyczą jednego z nich, który celnym strzałem w głowę z Schonauera przez lunetę ubił kozicę. A mnie „pech" prześladował, mimo zapewnień Tuscha, że dziś stanowczo do strzału dojdę. Szliśmy więc dalej, często po bardzo niebezpiecznych miejscach, byle dalej, byle kozice ujrzeć. Towarzysze rozstawili się, bo miał być teraz wzięty miot. Niedługo on jednak trwał, gdyż naganiacze, t. j. nasi przewodnicy, wrócili, mówiąc, że jest za trudno iść, z powodu twardego śniegu. Ja szedłem dalej i oto, stanąwszy nad przepaścią, ujrzałem na dole pasące się kozice. W tej chwili położyłem się na lodzie w bardzo niebezpiecznej pozycyi, gdyż głowa moja znacznie niżej była od nóg, za które mnie Tusch trzymał, aby się nie zsunąć w dół, i zmierzyłem się do kozic, których było siedem sztuk. Były one bardzo daleko, skoro przez lunetę, jak mrówki wyglądały, ale strzelałem przed nie, wiedząc, że w ten jedynie sposób będę mógł je sobie nagonić. Po kilku strzałach wszystkie kozice rozbiegły się po górach, czyniąc to tak zgrabnie, jak spłoszone sarny na równinie, jedna tylko, największa sztuka, zbliżała się do mnie, podsuwając się pod skałę, pod moją pozycyę, tak, że już tylko w bardzo przykrej i wielce niebezpiecznej pozie mogłem ją pod sobą zahaczyć. Gdy przewodnicy, których tam na dół posłałem, by ją nagonili, ukazali się, kozica wąwozem odemnie na lewo poczęła pomykać w górę. Gdy była w równej wysokości ze mną, ściągnąłem cyngiel, a kozica, jak martwy kamień, odbijając się parę razy o skały, zataczając przytem coraz większe łuki, padła w dół. O radości, z powodu tego arcymiłego widoku, pisać nie będę, myśląc, że czytelnik sam to sobie dośpiewa. Z powodu bardzo trudnego terenu, do kozicy leżącej nie szedłem i ujrzałem ją dopiero po trzygodzinnym marszu na drodze do koliby. Ku wielkiemu memu zdziwieniu skonstatowałem, że miała ona rogową narośl na nodze, a lewy róg przy końcu nadwerężony, co pochodziło, jak się później okazało, stąd, że przed dwoma laty strzelał prawie w tem samem miejscu nasz gospodarz bardzo daleko, najprawdopodobniej do tej samej sztuki, uważając ją już wtedy za kapitalną, i trafił jedną kulą nizko w nogę, a drugą w lewy róg.

Był to kozioł, liczyli go znawcy na 15 do 17 lat, ważył po wypatroszeniu 29,5 kg., róg długi 26 cm.

Tak więc zakończyliśmy to śliczne polowanie, zdobywszy wszyscy przynajmniej po jednej sztuce upragnionej zwierzyny.

Polowaliśmy potem w Rumunii na wilki i dropie i wiele dałoby się napisać o tem, jak nas panowie Rumuni gościnnie przyjmowali, o najnowszym systemie strzelania z broni, zatkanej watą Brunsa, o licznych krotochwilach z powodu często dla nas tylko o jedną minutę zawcześnie odchodzącego pociągu i t. d., ale ponieważ nadawałoby się to raczej do pisma humorystycznego, niż do „Łowca", więc rzućmy na to jasną zasłonę.

Z. Ł.

(*„Łowiec"*).

Listy do „Łowca Polskiego".

Tatjanówka (gub. Chersońska), *w kwietniu*

Objeżdżając posiewy w d. 11/24 kwietnia r. b. na jarej pszenicy, furman, nic nie mówiąc, wskazał mi batem stado kuropatw, niedalej, jak o 30 kroków od linii. Kuropatwy nie zerwały się, tak, że z łatwością naliczyłem ich trzynaście.

Klimat w chersońskiej gub. jest daleko cieplejszy, aniżeli w Królestwie Polskiem, a nawet aniżeli w podolskiej gub. Zaczęliśmy siać już 20 lutego i wtenczas spotykałem kuropatwy już w parach. Będąc, pomimo podeszłego wieku, zamiłowanym myśliwym, lubię robić spostrzeżenia; nigdy o tej porze nie widziałem całego stada, nierozbitego w pary. Czy się to i gdzieindziej trafia i jaka może być przyczyna, proszę kompetentnych kolegów o wyjaśnienie.

Erazm Kraśnicki.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myśiistwa.

Posiedzenie Rady, 2 maja. Towarzystwo zachęty hodowli psów myśliwskich w Petersburgu nadesłało medale: złoty, srebrny i bronzowy dla najpiękniejszych psów, jakie będą u nas na tegorocznej Wystawie. Ponieważ jednak odezwa zatytułowana jest do Kijowskiego Oddziału, a przysła w kopercie, adresowanej do naszego Oddziału, przeto postanowiono zapytać Towarzystwo zachęty, czy niema w danym wypadku pomyłki.

Rada rozpatrywała i postanowiła przedstawić Ogólnemu Zebraniu projekt budżetu na rok bieżący, w którym dochody i rozchody naszego Oddziału obliczone zostały na 39,380 rb.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W mińskiej gub., w majątku Łuninie, księcia Franciszka Druckiego - Lubeckiego, polowano dorocznym zwyczajem na głuszce i inną, sezonową zwierzynę pomiędzy 23 marca a 18 kwietnia (st. st.). Rezultaty polowań są następujące: hr. Aleksander Ilinski-Kaszowski zabił 4 głuszce podczas gry, 4 cietrzewie na toku i 3 słonki na ciągu. Ks. Fr. Drucki-Lubecki 2 głuszce podczas gry i 3 cietrzewie na toku. Niżej podpisany 2 głuszce podczas gry i 8 słonek na ciągu. Oprócz tego zabito jeszcze 9 cietrzewi i 30 sztuk różnego ptactwa, czyli razem sezonowego ptactwa zabito 65 sztuk. Dla ścisłości podaję jeszcze następujący szczegół. Pierwszy głuszec został zabity przez właściciela polowania ks. F. D.-L. 23 marca o godz. 4 m. 25 rano; hr. A. I.-K. zabił 28 marca 2 głuszce, z których jednego o g. 4 m. 25 rano, a drugiego o g. 4 m. 50, niżej podpisany zabił 17 kwietnia 1 głuszca o g. 3 m. 50, a 18 kwietnia jednego o g. 3 m. 40 rano. Oba te głuszce świetnie grały, co się rzadko o tak spóźnionej porze roku zdarza.

A. Z.

Wykazy Myśliwskie.

Zestawienie zabitej zwierzyny łownej w sezonie myśliwskim 1905/6 r. na terenach myśliwskich kółka św. Huberta w Otwocku.

Zwierzyny łownej: 4 dziki, 14 sarn (kozłów), 460 zajęcy, 145 kaczek, 9 dubeltów, 154 bokasy, 1,444 kuropatw, 4 przepiórki, 18 cietrzewi, 5 słonek, 10 dorkaczów i 4 bażanty. Razem 2,171 sztuk.

Szkodników: 12 lisów, 216 psów, 94 koty, 192 wiewiórki, 5 tchórzy, 45 jastrzębi, 685 wron, 3 sowy i 1 łasicę. Razem 1,253 sztuki.

Drobiazgi myśliwskie.

Zaraza na zające. Bardzo niepomyślne wiadomości o stanie zajęcy nadchodzą z różnych okolic. Czechy, Bawarya, prowincye Nadreńskie, Hesya i Hanower narzekają na masowe zdychanie młodych zajączków, a bardzo często znajdują tam także stare zające zdechłe. Rozmaite robaki wewnętrzne są główną przyczyną chorób, które często śmierć powodują.

Hodowla zwierzyny w Kurlandyi. Jak donosi myśliwski organ nadbałtycki, powstało tam „Towarzystwo hodowli gospodarczej zwierząt łownych i zwierzyny użytecznej". Na czele Towarzystwa stoi Wielki Książę Mikołaj Michałowicz, jako protektor. Do Towarzystwa należą przedstawiciele arystokracyi rodowej, wybitni myśliwi, uczeni i t. d. Towarzystwo zajmuje się nietylko sprawą karmienia i trofeów, lecz i częścią handlową, sprzedażą skór, futer i t. d.

Czas ochronny. W okręgu szczecińskim (Szczytno) na Pomorzu ogłoszono następujący czas ochronny: 1) Czas ochrony kozłów w r. 1906 przedłuża się do d. 29 maja włącznie, 2) ostatni termin zbierania jaj czajczych upływa d. 20 kwietnia, 3) termin zbierania jaj mewich przedłuża się do d. 15 maja, 4) czas ochronny dla kogutów cietrzewi, jarząbków i bażantów zostaje bez zmiany.

Niezwykły czas pomiotu saren. „Centralny organ myśliwych szwajcarskich" w Bazylei donosi, że myśliwi, polując w d. 30 marca w rewirze Sisselin w kantonie Aargau na słonki, znaleźli koźlę sarnie, mające już conajmniej dwa tygodnie życia.

Wilki w Bośnii. Z Sarajewa piszą, że baron v. Windersberger ubił nader silnego wilka w lesie Sipcemica, okręgu Foka. Wilk mierzył przeszło dwa metry długości. Przy patroszeniu znaleziono we wnętrznościach resztki mięsa końskiego i koziego.

Napad kłusowników. Pod Kolonią w Niemczech napadło dwóch kłusowników na dzierżawcę polowania, którego postrzelili ciężko w ramię i uciekli. Ranny wyznaczył 100 marek nagrody za pochwycenie kłusowników.

Zaraza na sarny. W prowincyach nadreńskich zauważono w ostatnich czasach nader liczne wypadki zdychania sarn. Przypuszczano, że powodem jest nawóz sztuczny, zwłaszcza kainit, obficie rozsypany po łąkach i polach. Na zasadzie sekcyj i badań bakteryologicznych ustalono, że sarny cierpią przeważnie na choroby płucne.

Zniknięcie wartościowego głuszca. Zwierzyniec w Schoenbrunnie poniósł niedawno stratę dotkliwą, skutkiem zniknięcia głuszca, który wzbudził niezwykłe zajęcie ornitologów i myśliwych, a po ośmiu latach pobytu w zwierzyńcu sprawił zarządowi bardzo przykrą niespodziankę, bo zginął nagle. Historya tego ptaka jest bardzo niezwykła. W 1898 r. pewien wieśniak, jadąc ze Stuhleck do Mürzzuschlag, otrzymał niezwykłego pasażera. W lesie usiadł na wozie wspaniały głuszec i towarzyszył wieśniakowi aż do domu, gdzie go osadzono, ku widocznemu zadowoleniu ptaka, w kurniku. Wieśniaka, który wiedział, jak płochym bywa głuszec, lękiem prawie przejęło osobliwe zdarzenie. Doniósł on o niem cesarskiemu leśniczemu i na jego polecenie przeniósł głuszca do Schallervogel. Tu przeżył on na swobodzie kilka lat, zawsze skory do stosunków z ludźmi i ściągający, dzięki temu, mnóstwo ciekawych. Na wiadomość o dziwnym ptaku, cesarz Franciszek Józef kazał go osadzić w zwierzyńcu Schoenbruńskim. Głuszec już wówczas był mocno podstarzały. Godzinami siadywał melancholijnie na gałęzi, nie zwracając wcale uwagi na publiczność. Niewiele zwierzyńców pochlubić się może posiadaniem głuszca, a tak osobliwego egzemplarza nigdzie dotąd nie było.

9 lisów jednym strzałem ubił myśliwy Bauer w Pfaffenbergu w Niemczech, ale w ten sposób, że ubita przezeń liszka szczenna miała w sobie pomiot 8-krotny.

Odczyt o psach myśliwskich miał baron v. Zobel w Mannheimie w ubiegłym miesiącu. Po krótkim wstępie zaznaczył, że jeszcze teraz pochodzenie psów jest niedostatecznie wyjaśnione z powodu różnicy poglądów. Psy spotykamy już u starożytnych Asyryjczyków i Egipcyan. Grecy znali *Canis molossus*, którego hodowano w Epirze głównie w celach myśliwskich. Rzymianie również znali ten gatunek psów. W Germanii początek rozkwitu myślistwa i psów myśliwskich przypada na rok 700, dochodząc do szczytu w r. 1700 po Nar. Chr. Później nastąpił upadek i dopiero druga połowa ubiegłego wieku przyniosła zmianę na lepsze. W r. 1879 zaczęto ustalać zasady hodowli psów rasowych. W r. 1890 w Charlottenburgu opracowano nowe zasady. Prelegent następnie omawiał obecne sposoby hodowli psów w następującym porządku: wyżły (pointer, setter, gordon-setter, setter angielski, braque, epagneul, griffon, spaniel); charty (Greyhound), tropowce, braki (fokshound, Harrier, Staghound), jamniki (Bassets, foksterier), psy par-force'owe, foksowe i retrievery.

Ambicya zwierząt. Zwierzęta są wrażliwsze na śmieszność, niż ludzie, co dowodziłoby, że mają poczucie wstydu. Pewien orangutang w londyńskim ogrodzie zoologicznym był nader dumny ze swoich faworytów i gładził je z upodobaniem. Raz został tak

pokaleczony przez towarzysza niewoli, że musiano go ogolić. Trudno sobie wzobrazić jego rozpacz i zdumienie, kiedy, sięgnąwszy łapą do faworytów, przekonał się, że ta cenna ozdoba gdzieś znikła. Widząc, że dozorcy śmieją się z niego, biedny orangutang stracił humor, apetyt i niebawem zdechł ze zmartwienia. Najspokojniejszego psa można doprowadzić do złości, wyśmiewając się z niego. Lew, na widok dozorcy, który wykrzywiał się pociesznie, trzymając się za boki od śmiechu, ryczał i ciskał się po klatce. Słoń oswojony także nie znosił, żeby żartowano z niego.

Zwierzyna a węże. O żarłoczności węża boa, zwanego dusicielem, nieraz już pisali rozmaici podróżnicy, obiegający kraje podzwrotnikowe. Mieszkańcy Londynu mają możność naocznego sprawdzenia tych opowiadań. W ogrodzie zoologicznym znajduje się obszerne pomieszczenie, zamknięte ścianami szklanemi, w którem żyje olbrzymi okaz dusiciela. Co kilka tygodni żywią go, rzucając mu pozabijane króliki, koźlęta, młode sarny. Dusiciel połyka je w całości, potem zasypia snem twardym, trwającym nieraz całe tygodnie. Okaz tego węża jest wyjątkowy; zazwyczaj boa w niewoli nie okazuje apetytu; musi być przemocą karmiony. Dusiciel, o którym mowa, sam sobie sprawia ucztę.

Poprawienie piękności psów. Jak donosi „Moniteur de l'alimentation" otworzono w Londynie zakład, przeznaczony dla plastycznego udoskonalenia psiego rodu.

Nic zabawniejszego, jak czytanie projektowanej taryfy:

Zmiana formy pyska	40	franków.
Wyrycie zmarszczek na mordzie buldoga	80	„
Ufryzowanie ogona gładkiego	20	„
Skrócenie długości ogona	20	„
Usuwanie niepotrzebnych włosów (za godzinę)	5	„
Zmiana koloru sierści	30	„
Przerobienie wiszącego ucha na stojące i na odwrót	20	„
Deformacya łap przednich u buldoga	100	„

* * *

W szkole. — Jakiego ptaka Noe wypuścił z arki? — pyta nauczyciel w szkole.

Malutki chłopiec woła: Gołębia.

Nauczyciel: — Dziwię się, że najmłodszy uczeń w klasie zna najlepiej historyę świętą.

— Panie profesorze, jego ojciec handluje ptakami. To dlatego — objaśnia jeden ze starszych.

* * *

Poradnik myśliwski. Z dniem 20 b. m. myśliwi, dzierżawiący łowy za rogatkami mokotowskiemi, mogą rozpocząć polowania na rysia, wilka, niedźwiedzia i łosia.

Jednocześnie rozpoczynają się strzały do krów, pastuszek, oraz parkanów podmiejskich: W Warszawie przypada obecnie początek łowów:

Na szwaczki, powracające wieczorem przez Ogród Saski, trajlowania pewnej „artystki" na olaboga, oraz naganka wierzycieli na śmiałych dłużników.

* * *

Nadzwyczajny wypadek. *Redaktor.* — Czemu to pan tak obrażony jest na reportera naszego dziennika?...

Amator-myśliwy. — Zważ pan tylko: kiedy niedawno zabiłem zająca, ogłosił to w piśmie, jako wypadek nadzwyczajny".

* * *

W zwierzyńcu. — Przepraszam, czy ten słoń ma dwa ogony?

— Nie proszę pana; to co pan uważa za ogon, jest trąba.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*).

Kura.

1. Biada tej kurze, co się na niej jastrząb przyprawia.
2. Bodaj was kurek kopnął!
3. Chudego na ofiarę kura.
4. Daj kurze grzędę, ona: wyżej siędę.
5. Dobra kura zawsze tłusta.
6. Dobre kurze i ziarnko.
7. Domowe kurki rzadko się zgodzą z obcemi.
8. Gdzie kurki gdaczą, tam coś obcego baczą.
9. Grzebie kura w grzędzie i ziarnko dobędzie.
10. Jakby kura nogą pogrzebała.
11. Jak kura kurczęta odchowa, to je dziobie.
12. Każda kura sobie grzebie.
13. Komuż piać, jeśli nie kurom?
14. Kura, co dużo gdacze, zwykle mało niesie jajec.
15. Kura pieje, kogut się śmieje.
16. Kur, choć głośno krzyczy, nikogo nie zje.
17. Kurczęta przed kurami śpiewać nie powinny.
18. Kurczęta tyją, kiedy matka chudnie.
19. Kurki szukał, gąskę stracił.
20. Kur kwoki nie lubi.
21. Kur pieje, pogoda się chwieje.
22. Kury do indyk nie należą.
23. Kury kwoki i kobiety powinny siedzieć doma.
24. Kury niosą dziobem, a krowy dają mleko gębą (jak je karmisz taki pożytek).

(*C. d. n.*).

Treść Nr. 10 „Łowca Polskiego".

Demokratyzacya łowiectwa we Francyi. *Jan Sztolcman* (dokończenie). — Przegląd krajowych ssaków łownych. (ciąg dalszy). *Jan Sztolcman.* — W podróżnikowej Afryce 1905 r. *Jan Sztolcman* (ciąg dalszy). — Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu. *Józef hr. Potocki* (ciąg dalszy). — Jak leczono psy sto lat temu (ciąg dalszy). — I-e Walne Zgromadzenie Członków Galicyjskiego Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich. *J. S.* — O karmieniu psów. *J. Konczewski.* — W północnej Persyi. *Wł. Czerniejewski.* — Oswojony kulon. *J. Biesiekierski.* — Polowanie na kozice. *Z. Ł.* — Listy do „Łowca Polskiego". — Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa. — Kronika myśliwska. — Wykazy myśliwskie. — Drobiazgi myśliwskie: (Zaraza na zające). (Hodowla zwierzyny w Kurlandyi). (Czas ochronny). (Niezwykły czas pomiotu saren). (Wilki w Bośni). (Napad kłusowników). (Zaraza na sarny). (Zniknięcie wartościowego głuszca). (9 lisów jednym strzałem). (Odczyt o psach myśliwskich). (Ambicya zwierząt). (Zwierzyna a węże). — Humorystyka. — Przysłowia myśliwskie *J. O.* (ciąg dalszy).

W felietonie: Pudło. *Lela Kieniewicz.*

Ilustracye: Pierwsze kroki.

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:

Smolna 34, w Warszawie.

KALENDARZ MYŚLIWSKI

ilustrowany na 1906 rok

pod redakcyą „Łowca Polskiego”

wyszedł z druku

nakładem Warszawskiej Spółki Myśliwskiej

i jest do nabycia

w Składzie broni Spółki Myśliwskiej (Królewska 17), w Redakcyi „Łowca Polskiego” (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach.

Cena egzemplarza w oprawie 75 kop., bez oprawy 60 kop.

z przesyłką pocztową w oprawie 1 rb., bez oprawy 85 kop.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego“ (Warecka 15).

Nad Nilem Niebieskim

przez **Jana Sztolcmana**

z ilustracyami Józefa Rapackiego.

Jest to nieznmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu Dr. Józefa Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich, zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy, która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej, mało jeszcze znanej sportsmenom krainie.

Wydanie ozdobne z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

Prenumeratorowie „ŁOWCA POLSKIEGO“ mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Warecka 15) po 4 ruble.

Jaja z gwarantowanemi 85% płodności

oraz żywo angielskie, obrączkowe, mongolskie, Prince af Wales, królewskie, versicolor—bażanty, Tinamus, kuropatwy są do sprzedania.

Bażanterya Weisskollm

przez Lohsa na Śląsku. Niemcy.

NAKŁADEM REDAKCYI

„Łowca Polskiego“

wyszły następujące dzieła myśliwskie:

Jan hr. Ostroróg „Myślistwo z ogary“ t. I — 75 k.

C. Cronau „Bażant łowny, jego pokrewne gatunki i krzyżowania. Historya i hodowla bażanta oraz zakładanie bażantarni“ z rysunkami tom I — 1.50 k.

Goedde „Hodowla bażantów“ t. I — 1.— „

Rudolf Weber „Żelaza i pułapki myśliwskie“ t. I — 75 „

Ernest v. Dombrowski „Myśliwy jako preparator i kolekcyonista“ t. I — 50 „

Jul. Biesiekierski „Kuropatwa szara czyli pospolita“ t. I z ilustracyami — 80 k.

Wiktor Stephan „Sarna“ t. I z rysunkami — 50 „

Wiktor Stephan „Zając pospolity“ t. I — 70 „

Ernest hr. Sylva-Tarouca „Hodowca a myśliwy“ t. I — 1.20 „

Dr. Maxeister Neum „Żywienie jeleni i sarn“ t. I — 60 „

Dr. O. Hilfreich „Pies zdrowy i chory“ z rysunkami t. I. — 1.— „

Karol Lancaster „Sztuka strzelania i polowania“ z rys. t. I. — 80 „

Dzieła te są do nabycia w Redakcyi „Łowca Polskiego“ (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni

K. TREPTEGO

(w Warszawie, Marszałkowska 149).

Leśnik: Czech, żonaty bezdzietny, mówiący i piszący po polsku, czesk., węgiersk., niem. i nieco po rosyjsku. Egzamin państwowy zagranicą. Obeznany z eksploatacyą lasów, zakładaniem szkółek. „**Specjalista**“ w urządzaniu i prowadzeniu polowań, w hodowli bażantów i tresurze psów legawych. Świadectwa chlubne ze słynnych rewirów Austro Węgier. Może złożyć kaucyę. Poszukuje posady leśniczego lub łowczego.

Łaskawe oferty uprasza pod

„Giorod-Specjalista“ Suprasl, gub. Grodzieńska.

Leśnik

młody, żonaty, z wyższem wykształceniem i 8-o letnią pracą praktyczną, przyjmie odpowiednią posadę.

Oferty przyjmuje

W-ny Jan Nieciengiewicz,

Warszawa, Chmielna 72 m. 42.

Żywe, silne, zdrowe

Zające, kuropatwy, bażanty, sarny, puhacze, Tinamous, wiele tysięcy sztuk, z gwarancyą dostawy żywych ma tanio do sprzedania, także jaja wylęgowe Tinamous i różnych gatunków bażantów dostarczy na maj.

F. HORACEK skład żywych zwierząt.

MARTINITZ-STARKENBACH (Czechy). 11

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 11. *Warszawa, d. 1 Czerwca 1906 r.* *R. VIII*

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W czerwcu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (kouty), jarząbki (koguty) i kaczory.

Uwaga. Przepiórek strzelać nie należy aż do czasu otwarcia sezonu na kuropatwy.

Łunacja w czerwcu.

Pełnia d. 6 o g. 10 m. 26 w.
Ostat. kw. d. 13 o g. 8 m. 58 w.

Wschód i Zachód Słońca
w czerwcu

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	3	45	8	10
2	3	45	8	11
3	3	44	8	12
4	3	43	8	13
5	3	43	8	14
6	3	42	8	15
7	3	42	8	16
8	3	41	8	17
9	3	41	8	18
10	3	40	8	18
11	3	40	8	19
12	3	39	8	20
13	3	39	8	20
14	3	39	8	21
15	3	39	8	22

WYRÓB KRAJOWY KARMU
DLA BAŻANTÓW, DROBIU I PSÓW
PRZESYŁA CENNIKI
„DYANA"
SKIERNIEWICE, GUB. WARSZAWSKA

ROMUALD WIĘCKOWSKI
Adwokat przysięgły. Chmielna 24.

Hodowla bażantów

Sztokmanskof sprzedaje jaja bażantów po 25 kop. za sztukę.
Sztokmanshof R. O. D. Z.

Istnieje od 1854 r.



ZAKŁAD
wypychania zwierząt i ptaków
p. f.
ANTONI ŁASTOWSKI
dawniej S. WYSOCKI
pozostaje na dawnem miejscu t. j. na
Krakowskiem-Przedmieściu № 22.
A. Łastowski
(1) Uczeń Delesalle'a w Paryżu.



Jaja bażancie
z Pawłowic (w pow. błońskim)
są do sprzedania w ilości około 1000 sztuk, po 30 kop. sztuka loco Warszawa lub st. Teresin (kol. kaliska). Oferty nadsyłać: Warszawa, plac Ś-go Aleksandra domu Nr. 12, m. 3.

Jaja bażancie
do sprzedania
Administracya Dóbr Nieborowskich
przez Łowicz gub. Warszawska.

Łabędzie
młode do sprzedania
Administracya Dóbr Nieborowskich
przez Łowicz gub. Warszawska.

Psiarnia Wiktora Szostaka
w Osieczu Wielkim
st. kol. Wiedeńskiej Czerniewice,
posiada zawsze
ułożone wyżły
do sprzedania

Skład Artykułów Specyalnych

KRZYSZTOF BRUN I SYN

Krakowskie Przedmieście Hotel Bristol.

Aparaty gimnastyczne pokojowe WHITELY.

WELOCYPEDY
pierwszorzędnych zagranicznych fabryk.

Wagi Amerykańskie „FAIRBANKS"
różnych wielkości i sił.

MASZYNY DO PISANIA REMINGTONA
uznane za najlepsze w świecie.

LAMPY NAFTOWE „WELS'A"
do oświetlania większych przestrzeni.

Koła transmisyjne drewniane, składane.

Cenniki szczegółowe franco, gratis.